



Ryszard Gorzkowski

część I z II

Sygnatura notacji: N0133

Data urodzenia: 11.09.1923 r.

Data nagrania: 01.03.2008 r.

Miejsce nagrania: dom pomocy społecznej, Karniowice, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Lidia Sikora, Maciej Marosz

Czas nagrania: część I: 50 min, część II: 55 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ryszard Gorzkowski: Co robiłem przed wojną?

Maciej Marosz: Tak.

Ryszard Gorzkowski: Przed wojną to się urodziłem w 1923 roku. Wychowywałem się cały czas w Krakowie, w gronie rodziny. Miałem cztery siostry. Ja byłem jeden beniaminek, więc mnie przeznaczali rodzice momentalnie do stanu kaptłańskiego, bo byłem błogosławiony między niewiastami, tak mówili. I potem chodziłem do szkoły powszechnej, bo dzisiaj mówimy „podstawowa”. Szkoła powszechna była przed wojną, imienia doktora Henryka Jordana przy ulicy Słonecznej w Krakowie, dzielnica Zwierzyniec. Ja mieszkałem po przeciwnej stronie ulicy, w ten sposób, że nasze mieszkanie akurat było na wysokości klasy mojej. I ja wychodziłem do szkoły zawsze wtedy przez płotek, jak zobaczyłem, że nauczyciel wchodzi do klasy. Więc się notorycznie niby spóźniałem, ale zawsze mu odpowiadałem. Pan profesor jeszcze nie rozpoczął lekcji, ja zdyszany wpadałem do klasy. To była szkoła powszechna, sześć klas. W szóstej zdawało się przed wojną do gimnazjum. Zdawałem do pierwszego gimnazjum imienia Bartłomieja Nowodworskiego na placu Na Groblach. To było takie elitarne trochę gimnazjum. I tam do trzeciej gimnazjalnej szedłem bez żadnych potknięć, natomiast w trzeciej gimnazjalnej miałem taki spór z dwoma profesorami od matematyki i od geografii, chociaż obydwa przedmioty lubiłem, ale były takie uczniowskie jakieś złośliwości, strzelaliśmy z gumek, jak profesor był odwrócony, to takie gumki były. I oni zauważyli to, i posadzili mnie w trzeciej klasie. I miałem w 1939 roku na 1940 przejść do czwartej gimnazjalnej. Wojna wybuchła 1 września, wobec tego już nie poszedłem do tej czwartej gimnazjalnej, natomiast ponieważ byliśmy wszyscy bardzo patriotycznie wychowywani, moi koledzy,

ja, w domu i tak dalej, wobec tego żeśmy się natychmiast skrzyknęli, że będziemy konspirować. Paru kolegów się tam dobroła z mojej dzielnicy i jeszcze nie wiedzieliśmy jak się nazwać i tak dalej. Natomiast rodzice starsi, którzy w czasie wojny drugiej mieli już doświadczenia, więc przestrzegali nas tylko, ale nam doradzali, jak to robić i tak dalej. I w końcu myśmy się podzielili na tak zwane piątki i w tych piątkach składaliśmy tam przyrzeczenie i tak dalej. To była dziecinada, ale był ten patriotyczny jakiś odruch. I dopiero 27 września 1939 roku, kiedy generał, zapominam nazwisk, otrzymał od Rydza-Śmigłego rozkaz, ażeby organizował armię podziemną i on wtedy zorganizował Służbę Zwycięstwu Polski. Tak się to nazywało. I on do nas od razu przyjechał taki jego łącznik, porucznik „Beton”. To już mówię w tej chwili, pseudonimami będę mówił, bo nazwisk nie, myśmy się pseudonimami... Porucznik „Beton”, i przysięgę od nas odebrał, rota przysięgi jest tutaj, więc mogę ją zacytować, jeżeli trzeba będzie i zaczęła się sprawa. Pierwszą rzeczą to było roznoszenie ulotek, kolportaż gazetki podziemnej do wszystkich możliwych mieszkańców, gdzieśmy znali. Ale później trzeba było też i mały sabotaż robić. Po prostu to się nazywała mała dywersja, a na czym polegała? Niemcy jak wkroczyli do Krakowa, to na takich stalowych prętach mieli umieszczone swoje informacje. To infanteriitam takie. Tam piechota, tutaj czołgi. I myśmy to wyrwali oczywiście albo odrzucali, albo myśmy kierunek zmieniali. Zamieszanie w Krakowie było okropne przez parę godzin, ale my mieliśmy satysfakcję, a Niemcy już się dowiedzieli, że są w obcym kraju. W ten sposób. I teraz do jakiegoś... 1 wrzesień to był, październik, może listopad, Niemcy zezwolili na otwarcie szkół technicznych, bo im byli potrzebni młodzi ludzie, technicy, wyszkoleni. Wobec tego dali program. W tym programie nie było tam żadnych politycznych spraw, tylko szkolili nas po prostu w matematyce, w technice, geometrii, wykresie i tak dalej. I od razu nas zapisywali do jakichś swoich tam budowí gdzieś i tak dalej. Ale to dopiero po trzecim roku. Natomiast już na pierwszym myśmy już byli dobrze zorganizowani i już w tych szkołach technicznych były organizacje tajne. Już myśmy się porozumiewali między sobą jako żołnierze tej armii podziemnej. I w 1943 roku na początku powołali rocznik 1922, Niemcy oczywiście powołali, Niemcy, 1922 rocznik i 1923 do tak zwanego Baudienstu. To były hufce pracy, jak gdyby odniesienie do tych. Ale już mieliśmy przeznaczenie konkretnie, do jakich budowí będziemy tam odkomenderowani i gdzie będziemy pracować. Więc myśmy dostali przydział, nasza ta grupa taka konspiracyjna, która jeszcze się utrzymywała, dostała do Prokocimia. W Prokocimiu powstała olbrzymia stacja rozrządowa i rozpoczęli Niemcy budowę hal na parowozy, na wagony i tak dalej, i tak dalej. Wszystkie konstrukcje były przywiezione z Niemiec, gotowe już, tylko myśmy składali przy pomocy dźwigów i tak dalej. I teraz zaczęła się od razu konspiracja już na poważnie. Przyjechał do nas taki konstruktor i organizator tych wszystkich takich robót dywersyjnych i myśmy się zgodzili, że wysadzimy dwie obrotnice pod... Wiecie państwo, obrotnica to lokomotywa wjeżdża na też koło takie, obrotnica wjeżdża na tor i potem, żeby ją umieścić w garażu, to ta obrotnica ją obraca i ona wjeżdża w ten właśnie swój kącik. I myśmy jedną i drugą obrotnicę uzbroili w ładunki wybuchowe i w przeddzień, kiedy mieliśmy wysadzić te historie, gwałtowne aresztowanie nastąpiło. Okazało się, że któryś z Niemców podpatrzył te nasze przygotowania i doniósł. Więc nie było co robić, tylko myśmy od razu prysnęli. Ja uciekłem wtedy do Przyborowia. To był majątek książąt Jabłonowskich. Księżna Jabłonowska, z domu hrabianka Rejówna prowadziła olbrzymią, na wielką skalę ochronę właśnie takich, jak my, Żydów i tak dalej, i tak dalej i ona to wszystko organizowała fantastycznie. Zresztą dostała potem dużo odznaczeń od Zachodu i myśmy tam od razu przysięgę złożyli i wcielono mnie do plutonu dywersyjnego specjalnego. Nazywał się ten pluton... Właśnie, nazywał się... Przypomnę sobie, to tego. I rozpoczęła się normalna wojna już jako żołnierze z pseudonimami i wtedy ja, ponieważ byłem po podchorążówce, bo równolegle, jak myśmy się uczyli i tak dalej, to ci oficerowie przedwojenni szkolili nas na podobieństwo podchorążówki przedwojennej, więc miałem przygotowanie takie podchorążackie.

Wszystkie nasze te sprawy, wobec tego Londyn nam, trzeciego, mnie przynajmniej 3 maja...

Maciej Marosz: Londyn zatwierdzał, tak?

Ryszard Gorzkowski: przy okazji jakiegoś święta...

Maciej Marosz: Londyn zatwierdzał, tak?

Ryszard Gorzkowski: Londyn. Dlatego, że cała organizacja nasza była kierowana stamtąd, bo tutaj my byliśmy wojskiem podziemnym, ale tam był rząd nasz przecież. I dostałem wtedy nominację z 3 maja 1942 roku na podchorążego. Wobec tego mogłem już dowodzić dziesięcioma ludźmi, co też zrobiono od razu i dano mi specjalne zadania takie... Ja jeszcze muszę powiedzieć, że to nie była wojna otwarta, normalna frontowa. To była partyzantka, więc myśmy na przykład, nasz pluton podzielili na trzy oddziały po dziesięć osób. Miał różne zadania do spełnienia. Wyszadzaliśmy mosty, wysadzaliśmy tory kolejowe, przytapywaliśmy niemieckie transporty ze Wschodu, które szły z tymi zrabowanymi rzeczami i tak dalej, więc myśmy wtedy odprowadzali to do odpowiednich, byli profesorowie z tego, z Muzeum Narodowego i oni to chowali w odpowiednim czasie. Potem to wszystko rzeczywiście po wojnie wydostawali. I to były nasze takie zajęcia. I w końcu po każdym takim jakimś patrolu bojowym, dostawaliśmy dwa-trzy dni urlopu. Ja pewnego dnia poprosiłem mojego dowódcę, że wyskoczę do Łososiny pod Limanową do moich znajomych. Dostałem wiadomość, że tam ktoś choruje. I pomyślałem sobie, pocieszę tam ich, powiem, jaka jest sytuacja i tak dalej. I rano, jak już tam u nich byłem te dwa dni, rano wyszedłem o godzinie 5:00 i na przystanek Łososina Górna, ławeczka, nikogo nie było. Nic nie wiedziałem o tym, że tam w pobliżu, jakieś dziesięć kilometrów, był teren przewidziany do zrzutów z samolotów angielskich i amerykańskich broni dla nas, bo myśmy odbierali to, ale ja w tym nie byłem wtedy zorientowany, dlatego, że to była tajemnica. Każdy oddział dostawał swoją... Ja siedziałem na tym przystanku w Łososinie Górnej, samiutki. Mgła była śliczna, bo teren wschodził tak do rzeki, ja w pewnym momencie słyszę niemiecką mowę, gwarę, i tak dalej, hełmy naprzód, w słońcu zaczynają błyskać, wychodzi olbrzymia ilość Niemców na ten przystanek. Dowódca ich momentalnie do mnie się skierował i poprosił o dokumenty, więc ja te dokumenty mu pokazałem. Oczywiście miałem, bo specjalnie jak myśmy nie byli w akcji, bo jak w akcji, to trzeba było oddawać do komendy, a prywatnie jak gdzieś szedłem, to miałem przy sobie. Pokazałem mu to, skąd jestem, jak i on to podarł, rzucił mi pod nogi i mówi dalej: „Proszę dokumenty”, więc ja pokazałem, dostałem wtedy po twarzy. To był Ukraińiec.

Maciej Marosz: I co, pan pokazał później?

Ryszard Gorzkowski: Proszę?

Maciej Marosz: Co pan mu później pokazał za drugim razem?

Ryszard Gorzkowski: On powtórzył, żeby mi ja mu dał dokumenty. Ja odpowiadam: „No, tu są”. Bo on rzucił tam i wtedy dostałem parę razy w twarz, on się zdenerwował. Oni gdzieś bardzo mieli pilną robotę. I wywołał... Ich było

chyba dziesięciu, pięciu, nie wiem. I skuli mnie w kajdanki, i kazali mnie odprowadzić do feltżandarmerii, która była w Limanowej. I ci żołnierze mnie eskortowali tam do Limanowej, w Limanowej była feltżandarmeria tak zwana, to znaczy polowa niemiecka, tak zwani przez nas „Blacharze”. Oni mieli takie tutaj blachy na piesiach, na łańcuchach i tamci chcieli odejść, a ja po niemiecku mówiłem dobrze. Powiedziałem: „Chwileczkę, moment, nie odchodźcie, tylko musicie zaświadczyć, bo ja tu dokumentów nie mam”. Major był tam dowódcą tej żandarmerii i mówi: „Tak, tak”. I o dziwo ci żołnierze zaświadczyli przeciwko swojemu dowódcy na moją korzyść, że ja miałem dokumenty, że on podał to, że mnie uderzył po twarzy i tak dalej. Więc w każdym razie to było na moją korzyść, ten major przyjął to z jakąś taką ulgą, widziałem, że ja to nie jest jakiś gdzieś złapany ktoś po drodze, tylko że ja rzeczywiście byłem. I poszedł sobie. I to była godzina wpół do szóstej chyba. Ja od godziny tej wpół do szóstej do 6:00 po południu czy później, siedziałem tam w takim pokoiku, nikt się mną nie interesował. Nie byłem skuty, nic, tylko było otwarte okno na parterze. Cały czas kombinowałem, żeby coś nie wyskoczyć, bo wiedziałem, że nie wchodziłem z tej strony, tylko z tamtej, czyli tam stoi ta wacha cała, a tutaj jakaś rzeka płynęła, nie wiem, koło Limanowej jaka płynie i widziałem, że ludzie się kąpią, popołudnie było, pięknie wszystko, że wyskoczę sobie i pójdę się opalać. No, ale w tym momencie, jak ja takie miałem różowe myśli, wszedł do pokoju ten major, czy ja coś jadłem. Ja mówię: „Nic od rana”. Zdenerwował się, kazał mi dać jeść i przyniósł taki jego chyba pucybut olbrzymi talerz, ziemniaki tam były, jakieś jarzyny i taki olbrzymi kotlet schabowy. Więc oczywiście ja to zjadłem, ale połowę... Aha, i on jeszcze co zrobił, zawołał jakiegoś żołnierza, który przyszedł z psem i tego psa posadził przed oknem, olbrzymi wilczur, owczarek alzacki. Piękny, ja bardzo lubię psy, więc zacząłem do niego przemawiać, jedząc, a on nic. Patrzył na mnie tylko. I w pewnym momencie się położył na łapach i tak się też na mnie patrzył. Ja sobie myślę: „No, ty, dam mu teraz ten kotlet [I szuru, nie ma]” No i co, i rzuciłem ten olbrzymi kotlecik, który został jeszcze, się podniósł na cztery łapy, [warczenie] ten usłyszał to warczenie i przyszedł, i zaczął się śmiać: „Po co pan to robi? On tego nie zje. Niech pan to raczej zje, bo teraz pan pojedzie na gestapo do Nowego Sącza”. I to mnie trochę wytrąciło z równowagi, bo z feltżandarmerią, z Niemcami i tak dalej, ale na gestapo to już jest gorzej, bo to są ludzie niefrontowi. Oni po prostu łapią tylko tych wrogów III Rzeszy, w związku z tym tam już będzie niedobrze. I w tym momencie, jak ja tak rozmyślałam nad swoim losem, wszedł do tego pokoju granatowy policjant. Jak państwo wiecie, w czasie okupacji policja granatowa współpracowała, w sensie nie, że tłumiała nasze jakieś ruchy, tego, tylko Niemcy wykorzystali ich do porządku. I taki policjant granatowy przyszedł do tego pokoju, poprosił Niemca, żeby wyszedł, bo on by chciał ze mną porozmawiać. Mówi: „No, proszę pana, jedzie pan na gestapo. Stamtąd pewnie pan już nie wyjdzie. Niech pan napisze jakąś wiadomość do rodziny”, ale myśmy byli przeszkoleni. Nie wolno podawać adresów rodziny, nikogo, kolegów, bo przecież nie wiem, kto to jest. Może się Niemiec przebrał w ten granatowy mundur. Więc powiedziałem, że ja nie mam nic do ukrycia. Ale nam w czasie, jak były te zrzuty, to nam dawali jako żołnierzom zanotowanym tam w londyńskich tych, zawsze nam dawano parę dolarów. Ja sobie przypominam, że ja w tej chwili w kieszeni, nie wiadomo po co, mam co prawda drobnicę taką jakąś, ale mam. Więc powiedziałem temu granatowemu: „Proszę pana, niech pan mnie odprowadzi do WC, bo już tu długo siedzę i chciałbym tego”. Wtedy przyszedł Niemiec i przy otwartych drzwiach się zafatwiałem i jak spodnie ściągałem, to sięgnąłem do kieszeni i te wszystkie drobne monety, popatrzyłem, tego Niemca już nie było, ten granatowy był, [niezrozumiałe, 00:17:43] szlag trafił. „Ma pan tu ode mnie, od partyzanta na pamiatkę”. I dałem mu to. Proszę pana, porwał to, poszedł. Na drugiej stronie ulicy był, czego ja nie wiedziałem, urząd pracy. Urzędy pracy zatrudniały Polaków, tam była ewidencja i on się w oknie tam pokazał jakiś tam, żebym ja coś pisał, żebym ja coś... I przyszedł za chwilę, i mówi: „Proszę pana, dowiedziałem się tutaj od majora, że jedzie pan

na gestapo. Tam już nie będzie tak lekko, ale my damy jako eskortę starego, emerytowanego Niemca. On będzie spał cały czas i tam pod Ptaszkową, jak się jedzie z Łososiny do Nowego Sącza, to pociąg jedzie pomału pod Ptaszkową i potem zjeżdża już szybko do Nowego Sącza. I to jest odcinek, gdzie lasy dochodzą na sto metrów do torów. I on mi to wszystko mówi. „I tam pan, proszę pana, wyskoczy”, a ja mówię: „No, ale ten Niemiec”. „On będzie spał, proszę pana, bo on jest z nami umówiony. Najlepszy dowód, że założymy panu te kajdanki nie na tego”, tak mi te.... Długi łańcuch taki był i tak mi tylko omotał te ręce, żebym ja... Bo tam chodzili Niemcy koło przedziałów tych naszych i oczywiście grozili mi wszyscy ci esesmani, i proszę pana, jest Ptaszkowa, pociąg zwalnia, ja jestem przygotowany do skoku i w tym momencie do przedziału wchodzi trzech esesmanów z dziewczynami, roześmiani, mają parabelki przewieszane. No, gdzie skakać, no? Sito by ze mnie zrobili. Więc machnąłem już ręką, tylko kopnąłem tego emerytowanego żołnierza Wehrmachtu, żeby się obudził, bo tu może mieć nieprzyjemności. Poprawił mi ten łańcuch i dojechałem tak na gestapo do Nowego Sącza, on mnie tam zdał i tam mnie oczywiście już przejęli ci, służbowo, gestapowcy. I przesłuchali mnie tam, po co ja przyjechałem, jak ja przyjechałem, dlaczego skuli mnie. Ja mówię: „Nie wiem, no. Takie macie obyczaje, ale ja nic... Ja byłem u znajomych i tak dalej”, więc on zaraz za telefon, „Gdzie szkoła rolnicza?” „W Łososinie Górnej”, zadzwonił, zgadza się, byłem, spałem i tak dalej. No, nie wiedzieli, co ze mną zrobić i w końcu... Aha, a po co ja przyjechałem w ogóle. Ja mówię: „Dlatego, że księżna Jabłonowska i księżę Jabłonowski chcą założyć - i tu wpadłem straszliwie - hodowlę merynosów”. Niemiec tak się od razu sprężył. „Hodowlę merynosów?”, ja mówię: „Tak. No, to jest duży majątek. Oni mają praktykę i tak dalej”. Znaczący ja nie wiem o tym, to jest osobista sprawa pana Goeringa. On tylko ma prawo rejestrować merynoskie te, bo oni potrzebowali dla swoich tych pań tę skórę z tych... Merynosy to są te karakuły tak zwane. Ja wpadłem jak śliwka w kompot, dlatego pomyślałem sobie: „Głupi, po co ty takie rzeczy gadasz?”, bo tak nieprawda była. I on w ogóle nie sprawdzał nawet czy tak jest, tylko powiedział, że: „No, jeżeli merynosy, to znaczy ja jestem w jakiejś mafii, która właśnie te futra bierze” i tak dalej, i koniec. Dali mnie do celi. W celi było chyba ze 20 parę osób, takich jak ta. Znowu po przeszkoleniu wiedziałem, że się nic nie trzeba zwierzać, tylko mówię, że jest mi zimno, że to, że przykryjcie mnie czymś i tak dalej. I tam... Po jakichś dwóch dniach przenieśli mnie do celi śmierci. Tak to się nazywało. W tej celi śmierci było nas sześciu, a jeden leżał na łóżku, znaczący na pryczy i stale mi jakieś znaki dawał, ale wiadomo, mieliśmy instrukcję, nie wolno rozmawiać z nikim po przyjsciu do celi. Ale na drugi dzień jeden z tych, widziałem, że się porozumiał oczami z tym, co leżał i otworzyli okno, i zaczęli wyrzucać listy, przy czym wołali „Cip, cip, cip, cip, cip, cip”. Okazało się, że tam pod tym oknem naszym, to było na pierwszym piętrze, jest taka zagroda zrobiona, gdzie jest sarna tego dowódcy, tego esesmana tego więzienia i tam przychodzi karmić kury folksdojczka, która straciła syna, ojca, tak więc ona była przeciwko tej III Rzeszy. I ona zabierała listy wyrzucone przez tych naszych kolegów na zewnątrz, w ogrodzie pracowała więziennym i tam miała w ogrodzeniu, na wysokości takiej przyziemia wyjmowała cegły i dawała te grypsy, i ktoś z organizacji to wszystko potem tam... Więc taka była łączność. Więc ja wtedy się dosiadłem tam do tego, co leżał. Okazuje się, że on wtedy już mi powiedział, że jest porucznikiem dowódcą dywersji właśnie w Nowym Sączu, że on jest po przesłuchaniach i właściwie nie ma całej kości. Faktycznie, w ogóle. To worek kości. On w ogóle nie wstawał. Więc po przesłuchaniach, więc ja, żebym ostrożnie tutaj był i tak dalej. I tak siedziałem tam od... Już nie pamiętam, czy to był lipiec, czy to był sierpień, sześć tygodni. Sześć tygodni, ale już zdążyłem... Aha, zapomniałem o jednej... Jak ja jeszcze byłem tam u tego majora w feltzandarmerii, jak ja powiedziałem, że ja z tego majątku, to on sobie przypomniał, że on z Józefem Jabłonowskim brał udział w hippicznych zawodach w Wiedniu przed wojną i on czy to ten sam. Mówię: „Ten sam”. I on mi pozwolił zadzwonić, stał przy mnie, zadzwonić, tylko nie gdzie

jestem, tylko, że żyję. Więc ja zadzwoniłem, nikt nie odbierał. Wobec tego zadzwoniłem do sąsiedniego majątku własni Rejów, hrabiów Rejów i tam odebrała... Ja wtedy nie nazywałem się Gorzkowski, nazywałem się Michał Kuliński i tak się jej przedstawiłem, że: „Dzwoni Michał Kuliński. Czy jest Władek Heydel?” A Władek Heydel to był mój kompan z drużyny mojej. Ona mówi: „Ale kto dzwoni?”, ja mówię: „No, Kuliński” „Nie znam takiego”. „Proszę w takim razie Władkowi Heydlowi powiedzieć, że dzwonił jego przyjaciel” i tutaj nie mogłem powiedzieć skąd, prawda, Kuliński Michał i tak dalej. I ona mówi: „Czy to pilne?” Ja mówię: „Oczywiście tak. Siadaj, dziecko, na koń i...” Majątki były dziesięć kilometrów jeden od drugiego i ona to zrobiła. Zresztą świetnie na koniu jeździła, na oklep i tam do Korzeniowa, gdzie Heydlowie właśnie siedzieli, dotarła i powiedziała Władkowi, że: „Jakiś twój przyjaciel dzwoni”. Wiedział, że ja jestem Michał Kuliński. I on z kolei do księżnej Jabłonowskiej poszedł, księżna Jabłonowska swoje wszystkie wiadomości tam, znajomości rozwinęła w naszym sztabie, tym okręgu i tak dalej i pewnego dnia... A jeszcze taka sprawa była, że prawie codziennie, może co drugi, co trzeci dzień z naszej celi, to była cela śmierci, tak się nazywała, jak zastrzelili gdzieś Niemca w okolicy czy była jakaś burda, to z naszej celi brali na rozwałkę, to się nazywało. I za moich czasów tam wzięli trzech panów. Zostało nas tylko dwóch. Ten, co leży i ja. Jak to się odbywało, że wchodził ten esesman z wilczurem otwierał celę, myśmy widzieli, że w korytarzu, tam więziennym, stoi facet, który ma przygotowany worek taki, przez głowę wsadzał temu, co wychodził, obwiązywał go sznurem i cementował usta. Miał taką... Cementował, opaskę i wyprowadzali, żeby był po prostu wieziony na rozstrzelanie. Jest dzień, w którym ja jestem tyko w celi sam, otwierają się drzwi, to ja tylko się pożegnałem oczami z tym... Leon Kuliński, on Leon Strzelecki się nazywał. Bardzo myśmy się zaprzyjaźnili, byliśmy szczerzy, on się... I ja się z nim tylko oczami pożegnałem, wiadomo, że ja idę na rozwałkę. Tymczasem, co się dzieje. Ja nie widzę, że w korytarzu jest ten facet z workiem. Nie widzę, że jest ten z cementem. Jest Niemiec tylko z psem, więc myślę sobie, idę pewnie na przesłuchanie, bo tak było, oni brali. I idąc korytarzem, trzeba było przejść przez taką kratę jedną, potem jak się przeszło tę kratę, to na pierwsze piętro na przesłuchania się szło, a dalej była znowu krata i już wyjście na ulicę koło ich służbówki. Więc ja byłem pewny, że idę na przesłuchanie, przeszedłem tę kratę, ten Niemiec idzie z tym psem za mną, a ja w prawo na schody. On poszczuł psem, rozdarł mi na pupie portki ten pies, on mówi: „Tu”. Myślę: „Cholera, tam, gdzie wyjście?” Podnieśli tę kratę na wyjście, jeszcze do służbówki kazali ich pójść i podpisać, że jak wyjdę na wolność, to nie będę opowiadał, co tutaj widziałem, co robiłem i tak dalej, i tak dalej. Więc ja oczywiście automatycznie podpisałem wszystko i się pomyliłem, Gorzkowski napisałem. Ale się zorientowałem. A ten mój Niemiec już pił wódkę, tamci też pili, więc ja to tego i przydeptałem tam, „Co się stało?”, dał mi nową. I ja się podpisałem „Kuliński” wtedy, i on wziął mnie za kołnierz, na ulicę, kopnął mnie, wyrzucił. Więc ja dalej nie wiedziałem, bo oni bardzo często tak robili, że człowiek wyszedł i potem seria poszła i człowiek nie żył. Więc ja ostrożnie tak się rozglądam, ale patrzę, bryczka jest i na tej bryczce siedzi pani baronowa Heydel, którą znałem tam. Ona w Przyborowiu u Jabłonowskich, ponieważ ona była autentyczną księżniczką Jabłonowską z domu, a ponieważ Jabłonowscy, ten Józek Jabłonowski, który brał udział w hippicznych zawodach, on nie był księciem. On dostał tytuł księżęcy od właśnie ojca tej pani Heydel baronowej, która była księżniczką autentyczną. On kupił od nich ten tytuł, ale mniejsza o to. W każdym razie ja ją zobaczyłem i prawie biegiem do tej bryczki. Myślę sobie: „Niech cholera strzela, niech wszyscy widzą”. I zaraz na tej bryczce, te rozdarte spodnie, więc on stał na progu i jeszcze mi pogroził. O co chodziło? Za moje życie księżna Jabłonowska dała sto kilogramów żyta i 25 litrów 96% spirytusu z gorzelnii... Przyborowskiej. Z gorzelnii z Przyborowia. Dlaczego? Bo Niemcy już wtedy nie brali pieniędzy, bo oni brali pieniądze za... Był głód w Niemczech. I to był 1944 rok, koniec... Stale mi się to myli, czerwiec, lipiec, było sześć tygodni. I oni brali tak, i wzięli to za mnie. Ona

zaoferowała i tak dalej, tak uratowałem życie i tam poszedłem do majątku z powrotem. Zameldowałem się z powrotem w tym plutonie, ale już była taka zasada, że kto siedział w więzieniu niemieckim, to już nie mógł być w dywersji tak zwanej, czyli dywersja to było tak, że był urzędnik albo uczeń i tak dalej. On był zakonspirowany i tak dalej, robił taką robotę właśnie patriotyczną, natomiast był normalnym człowiekiem chodzącym, natomiast taki, który już siedział, to był oddelegowywany do lasu. Ja wtedy poszedłem do partyzantki. To był 5. Pułk Strzelców Konnych Armii Krajowej i mnie tam oddelegowali do innego oddziału i już wtedy w lesie pod sosenką, pod tego, i tak się od właściwie końca lipca do czasu, kiedy bitwa była bardzo ciężka, bo nas tam Niemcy przydusili. Front akurat stanął na Wisłocze, na rzece Wisłoka. Myśmy akurat okrakiem takim w lasach byli. Część była po stronie sowieckiej, część była po stronie niemieckiej. Więc te oddziały nasz dowódca ściągnął z tamtej strony od Sowietów na niemiecką stronę, ale Niemcy ściśle te lasy otoczyli i nie mieliśmy w zasadzie wyjścia. Musieliśmy się przebijać. I w czasie tego przebijania właśnie zostałem ciężko ranny. Te nasze panie z tak zwanej Wojskowej Służby Kobiet zajęły się mną. Chirurg się znalazł, bo to wszystko było już skomasowane, już nie ten i on tam czyścił mi te rany, i tak dalej, ale to nie było to. Więc w każdym razie jakąś infekcję złapałem, bo byłem cały dosłownie obsypany ropą, śmierdziałem i tak dalej. Więc dowódca "Klamra", naszych tych oddziałów, zdecydował, że będziemy się przebijać. I na wzgórzu Kałużówki wszystkie formacje się... Ale powiedział tak: „Kto chce wyjść z lasu, to niech wychodzi”. Powiedzieli: „Szczególnie ci ranni”, więc mnie wziął wtedy pod opiekę Renee, Francuz, którego wziąłem do niewoli w czasie walk w lesie. Cały czas się mnie trzymał. Ja mu nic złego nie robiłem, ale on tak jakoś do mnie przylgnął. I przy jego pomocy wyszło nam wtedy sześciu czy ośmiu, dwóch ciężko rannych i postrzelanych takich i jak już przeszliśmy tę rzeczkę... Aha, jeszcze jedno. Dowódcą oddziałów, które nas zamknęły, tam był Graf, tak się nazywał, Niemiec, który przez naszą łączniczkę, bo bohaterka rzeczywiście była, Kałużyńską Izę, która była córką właściciela majątku w Strzegocicach, a Strzegocice były za tą rzeką, majątek i ona tam też ratowała wszystkich, zrobiła specjalnie pomieszczenia dla ciężko rannych w piwnicy i tak dalej. I ona przysłała do nas z wiadomością, że możemy śmiało przechodzić przez linię frontu, bo jej ten Graf, który ma lokum u jej rodziców w majątku, obiecał, że partyzantów nie będzie tego, mogą wyjść z lasu. Oni nie będą strzelać. Ja już tego nie mogłem przekazać do dowódcy, bo już byłem na skraju lasu, natomiast ona powiedziała, że ona to musi przekazać. W tej książce jest to napisane, tylko ten autor tej książki, zresztą bardzo bohaterski facet, nie miał czarno na białym, że ten...

Maciej Marosz: Jaka książka? Tytuł, żeby zaistniał.

Ryszard Gorzkowski: Proszę?

Maciej Marosz: Tytuł książki.

Ryszard Gorzkowski: Tytuł książki jest „Gdzie Karpat progi”, a autorem jest Antoni Stańko. On był pełnomocnikiem rządu londyńskiego na Dębicę tam i on potem napisał książkę. I nasze tu są rozmaite takie wtręty i tak dalej. Więc tak się właśnie zrobiło. Ja byłem już na wolności, ale w lesie i po tej walce, prawda, ciężko ranny, wyszedłem z lasu i co najciekawsza historia była, jak przeszliśmy tę rzeczkę, tu las, schodziliśmy z tego, przeszliśmy tę rzeczkę, a po tej stronie już były okopy niemieckie. Widzieliśmy tych Niemców siedzących w kopcach tych zżętego żyta ale nie strzelali, czyli faktycznie on dał rozkaz, że możemy wychodzić. Ale co się stało, myśmy się czotgali jak głupi od tej rzeki

jakieś sto metrów i dopiero jak tamci, zobaczyliśmy okopy, tośmy wychodzili, a jeden z moich kolegów trąca mnie, mnie strasznie wszystko bolało, mówię: „Co ty robisz?”, a on mówi: „Zobacz, co za nami jest”. A za nami, proszę pana, tabliczki „Achtung! Minen feld”. Myśmy przeszli przez pole minowe, czyli to była taka też wredna sprawa tego Niemca, bo myśmy przeszli przez pole, mogliśmy tam wszyscy zginąć na tym polu, ale nie strzelali Niemcy do nas. I ja wyszedłem, i wtedy ten Francuz poprowadził mnie. On widocznie miał instrukcję, już nie rozmawialiśmy, na taki nimantz. To się nazywa nimantzland [Niemand landet – ziemia niczyja] gdzie kończą się okopy sowieckie, kończą się niemieckie, a tutaj chodzą sobie patrole i tak dalej. I on mnie tam umieścił w stodole. W stodole, która jedyna była tam na tym terenie. Przykrył mnie tam jakimś tym i kazał mi siedzieć cicho, że tutaj przyniosą mi ubranie, ja miałem bluzę niemiecką na sobie, bo ściągnąłem z Niemca jednego, bo nie miałem już żadnego ubrania, miałem furazerkę niemiecką, wszystko i tak dalej i opowiada, że tu przyjdą. Rzeczywiście po paru dniach przyszła łączniczka. Zresztą bardzo się ucieszyłem, bo ją znałem jeszcze z konspiracji, przyniosła mi mundur kolejarza niemieckiego, nowiutkie wszystko, czapka z takimi tymi kolejarzskimi świecącymi, mosiężnymi znakami, spodnie, wszystko i tak dalej, i ja się przebrałem tam, ale co się działo przez te trzy dni? Otóż patrole sowieckie, jedną noc przychodzili i pod tę stodołę sikali na mnie, bo ja leżałem w węglach tego... Na drugą noc słyszę znowu niemiecką, znowu susiają, a nie mogłem nic zrobić, więc to była taka tragiczna, rzeczywiście śmieszna historia. Ale wytrzymałem i ona mi dała ten mundur i ja z nią, ona mnie podtrzymywała, przyniosła mi taki papierek, że ja jestem wyleczony z tyfusu. Niemcy się strasznie bali tyfusu. Jak patrole nas zaczęły zatrzymywać po drodze, to ona ten papierek, że ja tyfus. „A, tyfus, wek, wek, wek, waiter, waiter...” No i tak do Tarnowa doszedłem. 25 kilometrów ostatkiem sił. I ona powiada: „Dalej nie możesz iść, bo widzę, że ten” i tam mnie umieściła w jakimś domu, w którym mnie wykąpali, odwszyli, bo wszy miałem. I tam siedziałem z tydzień. I po tygodniu znowu...

Maciej Marosz: W jakimś prywatnym domu, tak?

Ryszard Gorzkowski: Proszę?

Maciej Marosz: Jacyś ludzie to byli tam.

Ryszard Gorzkowski: W Tarnowie. Tak, tak. Jacyś ludzie, ale to Polacy byli bardzo w stosunku do siebie w konspiracji właśnie ten. I ona wiedziała, bo ona była tą łączniczką i ona wiedziała, do kogo może mnie poprowadzić. I mnie tam odwszyli, mnie tam odkarmili, od tego i tak dalej, dwa czy trzy tygodnie i potem przyszedł łącznik, że poprowadzi mnie do Krakowa, dlatego, że doktor Kubisty, pamiętam nazwisko do dnia dzisiejszego, czeka na mnie w Krakowie na chirurgii na ulicy Kopernika i zoperuje mi te, wyczyści wszystko i tak dalej. Tak też się stało. Ja zostałem przydzielony na salę niemiecką, bo Niemcy już wtedy nie dopuszczali Polaków, bo mieli swoich rannych ze Wschodu. Tarnów się nazywał „End Station Wschód”, to znaczy końcowa stacja z zachodu, a Kraków był właśnie w operacjach takich ciężkich i tak dalej. Oni się wycofywali, proszę pana, strasznie chaotycznie. Ciężko rannych nawet widziałem jak oni na taczkach wieźli na most Dębnicki. Tak że to była już armia skończona w ogóle, to nie było żadnych tych. I to był, proszę pana, to był wrzesień 1944 roku, kiedy armia była już właściwie, ten Paulus pod Stalingradem dwa i pół tysiąca czy 20 parę tysięcy ludzi poddał ruskim, później oni nie mieli co jeść tam. Jedni szczury jedli i tak dalej, więc tak że Stalingrad przestał istnieć i jeszcze oni tam jakieś zrobili uderzenie takie, to się nazywało zwrotne i właściwie

armia niemiecka została na Wschodzie skończona. I to się wszystko zaczęło przewalać na nasze te. A co ja, ja po tym odżywianiu, dostarczyli mnie do Krakowa, tam się mną zajęły siostrzyczki szarytki. A dlaczego szarytki? Dlatego, że moja siostra, która była nauczycielką francuskiego w Grodnie, jak przyszli ruscy, to od razu inteligencję wzięli i ją w wagony i wywieźli ich gdzieś tam w tajgę, dosłownie w las. Już był przyprószony, przyśnieżony. Po drodze umierali ludzie, jak nie, to wyrzucali te trupy po drodze i oni dojechali do takiej tajgi w ogóle. I wyrzucili, ta cała eskorta z powrotem. Dzieci, kobiety, mężczyźni. I zaczęli się organizować. Rękami kopali sobie jamy, bo zimno, śnieg padał, i ona to wszystko zobaczyła, zobaczyła, jak dzieci umierają bez pomocy, więc tam postanowili, tak, ona opowiadała, podjęła takie, że ona do klasztoru, do szarytek właśnie pójdzie, sióstr miłosierdzia, które właśnie mogą pomagać ludziom. I tak to zrobiła. Poszła do tego klasztoru, natomiast siostry szarytki, wiedząc o tym, że ona jest moją siostrą, zaopiekowały się na tej sali niemieckiej mną, ja nie mogłem słowa po polsku powiedzieć, bo tam co dwa dni wpadali dyżurni chirurdzy niemieccy i dużo było dezercji niemieckiej. To oni zrywali bandażę, patrzyli, czy to rzeczywiście pod bandażami jest jakaś rana, a ja miałem tę ranę i to straszna. Byłem opuchnięty cały. A siostrzyczki naokoło mnie, jak tylko ten Niemiec się... To nie, nie, nie i mnie dawali stare zastrzyki, takie że byłem oszołomiony, nie mówiłem po polsku nic w ogóle. Ale mój mundur niemiecki u nóg, bo to Ordnung muss sein, jak Niemcy mówią, porządek musi być, u nóg mojego łóżka na taboreciku, marynarka, spodenki, wszystko elegancko. Niemiecki oczywiście. I oni pewnego dnia, Sowietci zbombardowali ten szpital na Kopernika, jedno skrzydło tylko i wtedy panika się stała, więc oni zaczęli wtedy już chaotycznie wywozić tych. I wtedy siostrzyczki mnie bocznym wyjściem, ja już nie wiem jak, w każdym razie opowiadała mi to przełożona, że mnie do prywatnego domu jakiegoś na Starowiślniej ulicy w Krakowie odwieźli i tam do siebie już doszedłem przez miesiąc czy dwa, z tym że już mogłem dać znać do rodziców, że żyję, że to, że rodzice mieszkali na Królowej Jadwigi, na Salwatorze. Więc takie były moje losy do momentu, kiedy wyzdrowiałem i tego. I Niemcy w Krakowie już nie robili. Były naloty na moje mieszkanie. Dlaczego? Dlatego, że ja mieszkałem wtedy nie u rodziców, tylko obok u kolegi, dlatego że oni mnie szukali, dlaczego? Bo że ja uciekłem z Baudienstu. Więc te porządkowe ich służby dostały polecenie, żeby mnie szukać, sprowadzić i tak dalej. I stale były jakieś... Mnóstwo rzeczy ja straciłem. Ja miałem pamiętniki ładne z czasów harcerskich, bo harcerstwo przed wojną jeszcze, należałem do drużyn harcerskich i tak dalej. Więc taki mszał mam tutaj, są znaki na nim, tata obdarł ten od księdza Ziei, ale mam ten mszał do dnia dzisiejszego jako moją relikwię taką z tych czasów i tylko on, ten mszał ocalał, natomiast wszystkie inne moje jakieś pamiątki to nie. Mundur przysposobienia wojskowego, bo myśmy już w trzecim oddziale mieli przysposobienie wojskowe, to ojciec zwinął i od łazienka w takiej nyszy, na wszystkich piętrach były te i rzucił tam na dół i to potem zgniło i ja to myłem, chodziłem, patrzyłem. I tak to było. A szczegóły, jak przyjmowaliśmy zrzućty angielskie i amerykańskie, bo to byłem w specjalnych oddziałach na tym, jak myśmy to wywozili, gdzieśmy umieszczali i tak dalej, to jest osobne opowiadanie po prostu. To była cała organizacja związana z przyjmowaniem zrzućtu. Więc myśmy mieli nasłuch cały czas, radiowy. Już mówię w tej chwili o tej jednostce przyjmującej zrzućtu. Mieliśmy nasłuch, Londyn i dostaliśmy z Londynu na przykład: „Siekiera, motyka, piłka...”, a, wystartowali. Jak przelecieli Kanał La Manche, znowu powtórka tego i potem już „Z dymem pożarów”, to już wiedzieliśmy, że oni są nad terytorium Polski. I wtedyśmy w tych strzałach, bo były strzały ułożone z jedliny na tych zrzućtowiskach.

Maciej Marosz: Z czego?

Ryszard Gorzkowski: To wskazujący...

Maciej Marosz: Z czego był ułożony?

Ryszard Gorzkowski: kierunek wiatru. Nie, bo chodzi o to, żeby pilot z góry...

Maciej Marosz: Tak, tak, ale z czego były?

Ryszard Gorzkowski: zobaczył...

Maciej Marosz: Z czego były te strzały?

Ryszard Gorzkowski: To jedlina polana benzyną, tylko zapalana w momencie, kiedy już usłyszeliśmy warkot samolotu. I wtedy te strzały, które były skierowane pod wiatr, i on się wtedy orientował, i zachodził pod wiatr. I wtedy na bardzo małej wysokości zrzucił z jakichś 50 do 100 metrów, to się rozbiły, to były takie parę metrów jak to, takie te...

Maciej Marosz: Skrzynie.

Ryszard Gorzkowski: Tak. Eliptyczne to było jakieś. I to było związane takimi rzemieniami wzdłuż i wszerz i na spadochronach to spadało. Niektóre nie rozwinęły się, to się rozbiły. Myśmy mieli potem utrudnione zbieranie. Niemcy bardzo często zorientowali się, że lecą te bombowce amerykańskie, wobec tego na samochodach na tym, na owym starali się za hukiem iść, gdzie to jest. Tak żeśmy bardzo często potyczki z nimi musieli stwarzać, ale bardzo często jednak wszystko udało się nam sprzątnąć i to się melinowało w gospodarstwach takich, które były wyznaczone do tego. I potem tę broń, oficer broni to się nazywał, on to dzielił na oddziały poszczególne i tak dalej. Ci nie mieli karabinów maszynowych, to trzeba im dać, nie mieli stenów, to trzeba im dać i tak dalej. Więc tak to było. Ta służba moja w tych plutonach zrzutowych.

Maciej Marosz: W jakich latach?

Ryszard Gorzkowski: Proszę?

Maciej Marosz: W jakich latach była ta służba?

Ryszard Gorzkowski: W jakich czasach? To wszystko jest 1944 rok od sierpnia do końca roku, bo przecież w 1945 roku...

Maciej Marosz: I na jakich terenach to zrzuty?

Ryszard Gorzkowski: Proszę?

Maciej Marosz: Na jakich terenach to zrzuty?

Ryszard Gorzkowski: 1944 rok, odebrano sygnał zrzutu na placówkę „Papuga”, w rejonie Jastrzębki Starej. Tu pan ma. To wszystko wpisywali, bo to trzeba było. Oficera broni i tak dalej, że to jest prawdziwa. Więc to jest właśnie ta „Papuga” moja.

Maciej Marosz: Co jeszcze można o tych zrzutach powiedzieć? Ile było tych zrzutów?

Ryszard Gorzkowski: To ja nie powiem, dlatego że...

Maciej Marosz: Mniej więcej tak.

Ryszard Gorzkowski: No, sporo było.

Maciej Marosz: Ile było odebranych?

Ryszard Gorzkowski: Sporo było. Było na pewno 5-6 zrzutów w naszych rejonach. Na pewno. Ale były zrzuty też w innych partyzanckich obszarach, to o tym nie wiem. Na „Papudze” brałem jeszcze w jednym tym, tamten oficer broni zachorował, w związku z tym mnie wydelegowali, jako, że już byłem otrząskany z tymi sprawami, ale już nie pamiętam w tej chwili, jaki to był obszar, bo mnie łącznik dowiózł tam na motocyklu, niemieckim zresztą i wysadził mnie, ja poszedłem do lasu, więc nie wiem.

Maciej Marosz: Jesteśmy przy tych zrzutach i...

Ryszard Gorzkowski: No, tak.

Maciej Marosz: co dalej po zrzutach? Chyba, że do zrzutów jeszcze coś dodamy.

Ryszard Gorzkowski: Zrzuty były wszystkie przed moim aresztowaniem. To nie jest chronologia w tej chwili. Ja to, co opowiadałem, to mówiłem ciurkiem, jak było. Natomiast po drodze, wcześniej były zrzuty, było palenie, proszę pana, stanowisk niemieckich, bo oni tam przetrzymywali najrozmaitsze... Oni rabowali rzeczy i budowali sobie taki bunkier i myśmy te bunkry wysadzali w powietrze i tego.

Maciej Marosz: Niemcy, ale...

Ryszard Gorzkowski: To było w czasie.

Maciej Marosz: jakie oddziały tego dokonywały?

Ryszard Gorzkowski: Wszystkie, oprócz Wehrmachtu. Muszę powiedzieć, że ja do Wehrmachtu czułem... Bo to był żołnierz, który walczył ze mną, natomiast on się nie znięcał. Jak brał do niewoli, to nawet czasem kopał w tyłek, „Do widzenia” mówi, „Nie chcę do niewoli brać” i tak dalej. Natomiast gestapowcy i tak zwani ci Szaunisi, Litwini się znaleźli na naszych terenach, Ukraińcy, wszyscy esesmani, więc oni byli najgorsi, bo oni byli bezwzględni, oni byli po prostu... Natomiast żołnierz Wehrmachtu walczył. Miał obowiązek walczyć i koniec. Ja miałem obowiązek walczyć i tak dalej. Zabiję go, to ja to nie... . Więc tak to było.